

Frances Hodgson Burnett

Miała księżniczka



Frances Hodgson Burnett

Mała księżniczka



Tekst i przypisy lektury *Mała księżniczka* Frances Hodgson
Burnett na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury
(www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0).

Tytuł oryginału: ***A Little Princess***

Tłumaczenie: **Józef Birkenmajer**

Korekta: **Monika Wróbel**

Projekt makiety: **Mariusz Dyduch**

Opracowanie graficzne: **Luba Ristujczina Studio Litera –**
www.studiolitera.pl

Projekt okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje w książce i na okładce: **Iwona Walaszek-Sarna**

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., 2021
Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN: 978-83-8222-550-1

Sara

W pewien mroczny dzień zimowy, gdy ulice Londynu zaległa żółtawa mgła, tak gęsta i ciężka, że w mieszkaniach pozapalano światła, a okna sklepowe oświetlone były jak w nocy lampami gazowymi, głównymi ulicami miasta wlokła się z wolna dorożka, w której jechała mała dziewczynka ze swym tatusem.

Siedziała, podwinąwszy pod siebie nóżki, oparłszy się o ramię ojca i wielkimi oczyma o dziwnym, jakby niedziecięcym spojrzeniu przyglądała się przez szybką przechodniom.

Po jej małej twarzyczce nikt by się nie spodziewał takiego spojrzenia. Było to spojrzenie dziewczynki dwunastoletniej, a Sara Crewe miała dopiero lat siedem. Mimo to – rzecz uderzająca – zawsze marzyła i dumiała o dziwnych jakichś rzeczach i nie mogła sobie przypomnieć takiego czasu, by nie rozmyślała o ludziach dorosłych i o świecie, do którego oni należą. Zdawało się jej, że już przeżyła długi, długi czas na tym świecie.

W chwili, o której mówimy, przypominała sobie podróż odbytą niedawno wraz z ojcem, kapitanem Crewe. Myślała o wielkim okręcie, który ją wiozł z Bombaju, o laskarach¹ przechadzających się po nim w milczeniu, o dzieciach bawiących się na rozgrzanym pokładzie i o kilku młodych paniach, żonach oficerów, które wciągały ją w rozmowę i śmiały się z różnych jej powiedzeń.

¹ *laskar* – indyjski marynarz.

Najwięcej zastanawiała się nad tym, jak to dziwnie plotą się ludzkie sprawy – gdy ktoś najpierw przebywał pod skwarnym niebem Indii, następnie znalazł się pośrodku oceanu, a wreszcie jechał w dziwnym jakimś powozie przez cudaczne ulice, gdzie w dzień było tak ciemno jak w nocy. Wydało się jej to tak zagadkowe i intrygujące, że przysunąwszy się do ojca, odezwała się do niego cichym, tajemniczym głosem:

– Tatusiu! Tatusiu!

– Czego sobie życzysz, kochanie? – odpowiedział kapitan Crewe, przytulając ją mocniej do siebie i przyglądając się uważnie jej twarzyczce. – O czymże to rozmyśla moja Sara?

– Czy to już to miejsce, tatusiu? – szepnęła Sara, przytulając się do niego jeszcze bardziej.

– Tak, moja mała, właśnie to miejsce. Dojechaliśmy do niego nareszcie – odpowiedział ojciec, a choć Sara miała dopiero lat siedem, wyczuła smutek w tej odpowiedzi.

Miała wrażenie, że wiele lat upłynęło, odkąd zaczęła się oswajać z myślą o miejscu, jak zawsze nazywała Londyn. Sara straciła matkę zaraz po swym urodzeniu, więc nie pamiętała jej wcale i nie tęskniła za nią. Młody, przystojny, bogaty, a pieścący się wciąż z nią ojczulek wystarczał jej za całą rodzinę. Bawili się zawsze razem i kochali się ogromnie. Wiedziała o nim, że jest bogaty, ponieważ słyszała, jak wyrażano się o nim w ten sposób, gdy myślano, iż ona tego nie słyszy; słyszała też, jak mówiono, że i ona będzie bogata, gdy podrośnie – nie rozumiała jednak, co to znaczy być bogatym. Mieszkała zawsze w pięknym bungalowie¹ i nawykła widzieć liczną służbę, która nazywała ją *Missee Sahib*², składała przed nią *salaamy*³ i ustępowała jej we wszystkim. Miała dużo

¹ *bungalow* – drewniany dom z werandami.

² *sahib* (ar.) – pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

³ *salaam* (ar.) – ceremonialne powitanie.

zabawek i zwierzątek oraz starą *ayah*¹, która ją ubóstwiała. Sara z wolna sobie uświadomiła, że wszystko to posiadać muszą ludzie bogaci – poza tym jednak nie wiedziała więcej.

Jedna tylko rzecz niepokoiła ją w ciągu krótkiego jej życia – a mianowicie owo miejsce, do którego kiedyś miała się przenieść. Klimat Indii jest bardzo niezdrowy dla dzieci Europejczyków, przeto rodzice starają się wyprawić je stamtąd jak najprędzej – zazwyczaj do szkół w macierzystej Anglii. Sara widywała już odjazd innych dzieci i słyszała, jak ich rodzice rozmawiali o listach, jakie od nich otrzymywali. Wiedziała, że sama też będzie musiała wyjechać – a choć pociągały ją opowiadania ojca o podróży i o nowym kraju, jednakże trapiła się myślą, że ojczulek nie będzie mógł przebywać i z nią razem.

– A czy nie mógłbyś i ty pojechać ze mną do tego miejsca, tatusiu? – zapytała raz, gdy liczyła sobie pięć latek. – Czy nie mógłbyś i ty chodzić do szkoły? Ja bym ci pomogła w odrabianiu lekcji.

– Ależ nie zabawisz tam długo, córuchno – pocieszał ją ojciec. – Zamieszkaś w pięknym domu, gdzie będzie dużo małych dziewczynek i będziesz się z nimi bawiła, a ja ci będę przysyłał mnóstwo różnych książek... i urośniesz tak prędko, iż niczym rok jeden zbiegnie ci ten cały czas, nim będziesz na tyle duża i mądra, że potrafisz wrócić do tatusia i zaopiekować się nim na stałe.

Lubiła myśleć o tych projektach. Kierownictwo spraw domowych w zastępstwie ojca – przejażdżka konna i siadywanie na pierwszym miejscu podczas proszonych kolacji – rozmowy z ojcem i czytanie jego książek – wszystko to wydawało się jej czymś wprost wymarzoną, więc zdawała sobie sprawę z tego, że za cenę osiągnięcia tego szczęścia warto i godzi się pojechać nawet do owego miejsca w Anglii. Na towarzystwie małych dziewczynek bynajmniej jej nie zależało, ale obiecane mnóstwo książek byłoby dla niej prawdziwą osłodą doli. Książki bowiem lubiła nad

¹ *ayah* (z port. *aia*) – służąca, opiekunka pracująca dla Europejczyków żyjących w południowej Azji.

wszystko w świecie i rozczytywała się w nich zawzięcie; pod wpływem tej lektury układała opowiadania o różnych pięknych rzeczach i opowiadała je samej sobie – a czasami i ojcu, który również znajdował w nich wielkie upodobanie.

– Tak, tatusiu – odezwała się potulnie. – Skorośmy się tu znaleźli, sądzę, że powinniśmy pogodzić się z losem.

Roześmiał się, ubawiony tym poważnym sposobem jej przemawiania, i ucałował ją serdecznie. Mała, tak w postępowaniu swym dziwna Sara była dlań ważną, nieodzowną towarzyszką; zdawał sobie więc sprawę z tego, że będzie bardzo markotny i osamotniony, gdy powróciwszy do Indii i wszedłszy do bungalowu, nie zastanie w nim małej osóбки w białej sukience. Przeto przycisnął ją silniej do serca, gdy dorożka wtoczyła się na duży, posępny plac, gdzie wznosił się dom, będący celem ich podróży.

Była to olbrzymia, posępna kamienica z czerwonej cegły, zupełnie podobna do innych, stojących w jednym rzędzie z nią, z tą tylko różnicą, że na jej bramie widniała mosiężna tablica z wyrytym czarnym napisem:

Miss¹ Minchin
wzorowy pensjonat dla panienek

– Jesteśmy już na miejscu, Saro – odezwał się kapitan Crewe, starając się nadać głosowi jak najweselsze brzmienie. Wysadził ją z dorożki, po czym weszli na schodki i zadzwonili do bramy.

Później Sarze niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta kamienica była jakoś bardzo podobna do miss Minchin. Była dostojna i porządnie umeblowana, lecz wszystko w niej było brzydkie – a nawet fotele wydawały się jakby kościste. W hallu wszystko było twarde i wypolerowane – nawet czerwona puciołowata twarz księżycowa, stanowiąca cyferblat²

¹ *miss* (ang.) – panna.

² *cyferblat* (daw., z niem.) – tarcza zegara.



wysokiego zegara stojącego w kącie, miała wyraz sztywny, nazbyt gładki. Salon, do którego ich wprowadzono, zasłany był dywanem w czworokątny deseń, krzesła były kanciaste, a na ciężkim marmurowym gzym-sie stał ciężki marmurowy zegar.

Gdy zasiedli na jednym z tych kanciastych, mahoniowych krzesel, Sara rozejrzała się szybko wokół.

– Nie lubię tego wszystkiego, tatusiu – odezwała się. – Ale przecie i żołnierze, choćby najdzielniejsi, nie lubią iść do bitwy.

Kapitan się roześmiał. Był młody i lubił żarty, a dziwnych gawęd Sary mógł słuchać bez końca.

– Tak, moja mała – powiedział. – Cóż pocznę z sobą, gdy nie będzie miał kto przemawiać do mnie tak poważnie?

– Ale czemu te poważne rzeczy pobudzają cię do śmiechu? – zapytała Sara.

– Bo jesteś taka zabawna, kiedy o nich mówisz – odpowiedział, śmiejąc się jeszcze bardziej. Naraz¹ przestał się śmiać, przygarnął ją ramieniem i ucałował, a w oku jakby łza mu się zakręciła.

W tejże chwili weszła miss Minchin – osoba wysoka, posępna, dostojna i brzydka, jak własna jej kamienica. Miała szerokie, chłodne, rybie oczy takiz uśmiech, który rozszerzył się jeszcze bardziej, gdy ujrzała Sarę i jej ojca. O młodym oficerze słyszała bardzo dużo dobrego od pani, która rekomendowała mu jej szkołę; między innymi słyszała, że był bogaty i że gotów był nie żałować pieniędzy na kształcenie swej córki.

– Miło mi będzie roztaczać opiekę nad tak ładną i obiecującą dziewczynką, panie kapitanie – odezwała się, głaszcząc rękę Sary. – Pani Meredith bardzo ją chwaliła. Grzeczna i mądra dziewczynka to dla mnie skarb nie lada.

Sara stała spokojnie, utkwivszy oczy w twarzy miss Minchin, i myślała znów o czymś dziwnym.

¹ *naraz* (daw.) – nagle.

– Czemu ona nazwała mnie ładną? Nie jestem wcale ładna. Taka Belcia, córka pułkownika Grange, ma dołki w buzi, różowe policzki i długie złociste włosy. Ja mam krótkie czarne włoski i zielone oczy, przy tym jestem chuda i wcale nie powabna. Jestem jedną z najbrzydszych dziewczynek na świecie.

Myliła się jednak Sara, wydając taki sąd o swej urodzie. Wprawdzie nie była zgoła podobna do Izabeli Grange, słynnej w całym pułku ze swej piękności, w każdym razie miała w sobie wiele dziwnego uroku. Była osóbką smukłą, zgrabną, jak na swój wiek dość wysoką; twarzyczkę miała bystrą i miłą, włosy gęste, krucze, sfalowane nad samym czołem; duże, przedziwne jej oczy przysłonięte były długimi czarnymi rzęsami, a choć ich szarozielony kolor nie był w guście jej samej, jednakże podobał się wielu ludziom. Mimo wszystko uważała się za brzydką i pochlebne słowa nie zawróciły jej w głowce.

– Jestem tak brzydka, jak i ona... choć na inny sposób. Czemu ona tak się o mnie wyraża?

Z czasem, poznawszy bliżej miss Minchin, dowiedziała się, czemu tak się o niej wyrażała. W ten sam sposób przemawiała do każdego ojca i każdej matki, którzy przyprowadzili dziecko do jej szkoły.

Przyczyną umieszczenia Sary w zakładzie miss Minchin było to, że tutaj wychowały się w swoim czasie dwie córki lady Meredith, której rozsądkowi i doświadczeniu kapitan Crewe ufał bezgranicznie. Sara miała cieszyć się tu szczególnymi przywilejami, jakich nie doznawały inne pensjonarki. Miała dostać dla siebie oddzielną sypialnię i gabinecik, własnego kucyka i powozik oraz dziewczynę przeznaczoną do jej osobistych posług, na miejsce *ayah*, czyli tubylczej piastunki, która usługiwała jej w Indiach.

– Nie mam najmniejszych obaw co do jej wychowania – mówił kapitan Crewe z wesołym uśmiechem, głaszcząc rękę Sary. – Cała trudność w tym, by nie pozwolić jej przemęczać się nauką. Dziewczynisko wciąż tylko siedzi z noskiem wetkniętym w książki; ona ich nie czyta, ale wprost



pożera... i nigdy nie może się nimi nasycić. Wciąż się rwie do książek dla dorosłych... do grubych tomów w języku francuskim, niemieckim czy angielskim... do historii, życiorysów i dzieł poetyckich. Proszę więc ją odrywać od książek, gdy zmęczy się czytaniem. Niech wtedy pojeździ sobie na kucyku... albo niech wyjdzie na miasto, by kupić sobie nową lalkę. Ona powinna więcej bawić się lalkami.

– Tatusiu – odezwała się Sara – gdybym co parę dni kupowała sobie nową lalkę, prędko by mi się wszystkie znudziły. Z lalkami powinno się żyć w zażyłej przyjaźni. Moją serdeczną przyjaciółką będzie Emilka.

Kapitan Crewe i miss Minchin spojrzeli bacznie na siebie.

– Któż jest ta Emilka? – zapytała miss Minchin.

– Opowiedz nam, Saro – wezwał ją ojciec z uśmiechem.

W zielonych oczkach Sary widniał wyraz wielkiej powagi i spokoju, gdy odpowiadała:

– To lalka, której jeszcze nie dostałam, a którą tatuś dopiero mi kupi. Pójdziemy razem, żeby ją kupić. Dałam jej imię Emilki... a gdy tatuś odjedzie, będę miała w niej przyjaciółkę... i będę jej opowiadała o tatusiu.

Szeroki, rybi uśmiech miss Minchin znamionował w tej chwili naprawdę wielką przychylność:

– Jakież to niezwykle dziecko! – odezwała się. – Jakież to przemile maleństwo!

– Tak – potwierdził kapitan Crewe, przyciskając Sarę do serca. – Przemile maleństwo. Proszę opiekować się nią gorąco, miss Minchin.

Przez kilka dni następnych – aż do czasu, gdy ojciec wyruszył w podróż powrotną do Indii – Sara mieszkała wraz z nim w hotelu. Zwiedzając miasto, wstępowali razem do dużych sklepów i kupowali najrozmaitsze rzeczy; nie wszystkie z nich były Sarze potrzebne, to prawda, ale kapitan Crewe był człowiekiem młodym i prędkim, a córkę kochał ogromnie, więc pragnął, by miała wszystko, co tylko jej się podobało i co podobało się jemu samemu. W ten sposób wspólnymi siłami zgromadzili zapas

odzieży, aż nazbyt wytwornej, jak na siedmioletnie dziecko. Były tam aksamitne sukienki bramowane drogimi futerkami, sukienki haftowane i naszywane koronkami, kapelusze z wielkimi, puszystymi piórami strusimi, gronostajowe mufki i kołnierze oraz pudełka pełne takiej ilości chusteczek do nosa, rękawiczek i jedwabnych pończoch, iż panienki sklepowe szeptały sobie w ucho, że ta dziwna dziewczyneczka o wielkich poważnych oczach musi być co najmniej zagraniczną księżniczką – może córką jakiego radży indyjskiego.

Wiele sklepów obeszli i przyjrzeni się wielu lalkom, dużym i małym, czarnookim i niebieskookim, ubranym i nieubranym, zanim wreszcie znaleźli Emilkę.

– Ona musi być inna od innych lalek – mówiła Sara. – Musi przede wszystkim patrzeć inaczej, tak, jak gdyby słuchała tego, co ja do niej mówię. A u żadnej z lalek nie spotkałam takiego spojrzenia.

Po wielu nieudanych próbach postanowili iść pieszo i przyglądać się kolejno wszystkim wystawom sklepowym, rozkazawszy woźnicy jechać krok w krok za nimi. Minęli ze trzy składy zabawek, nawet nie zachodząc do środka, i już dochodzili do niewielkiego, bynajmniej nierzucającego się w oczy sklepiku, gdy Sara nagle wzdrygnęła się i ścisnęła mocno ramię ojca.

– Tatusiu! – zawołała. – To Emilka!

Rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę, a w zieloniutkich oczkach miała taki wyraz, jak gdyby spostrzegła znajomą sobie dobrze i serdeczną przyjaciółkę.

– Właśnie tu na nas czekała! – rzekła. – Chodźmy do niej.

– Wiesz co, moja droga – odrzekł ojciec – mam wrażenie, że ktoś powinien nas jej przedstawić.

– Dobrze! Ty przedstawisz mnie, a ja ciebie – rzekła Sara. – Ale ja ją poznałam od razu, ledwo ją ujrzałam... więc może i ona mnie poznała.

I bardzo możliwe, że Emilka ją poznała; w każdym razie miała w oczach wyraz bardzo mądry, gdy Sara wzięła ją na ręce. Była to lalka dużych roz-

miarów, lecz nie tak duża, by nie można jej było nosić na rękach; miała prawdziwe włoski, spływające dookoła niej falą złocistokasztanowych kędziorków, a nad jasnymi, siwymi oczkami kreśliły się dwa łuki gęstych rzęs, nie malowanych farbą, lecz prawdziwych.

– Tak jest – mówiła Sara, trzymając ją na kolanach i przyglądając się jej twarzy – tak jest, to Emilka!

Kupili więc Emilkę i natychmiast udali się z nią do sklepu z konfekcją dziecięcą, gdzie przymierzano dla niej ubranka tak wspaniałe, jakie miała Sara. Dostała więc sukienki koronkowe, aksamitne i muślinowe, chusteczki do nosa, futerka.

– Jej będzie u mnie tak dobrze, jak dziecku u kochającej mamusi – mówiła Sara. – Ja jestem jej mamusią, ale poza tym będę ją uważała i za przyjaciółkę.

Kapitan Crewe byłby się czuł również uradowany tymi sprawunkami, gdyby nie dręczyła go smutna myśl, że wkrótce rozłączy się ze swą najukochańszą, a tak w usposobieniu niezwykłą małą towarzyszką.

W tę noc wstał z łóżka i podszedłszy do córki, śpiącej z Emilką w objęciach, długo się jej przyglądał. Czarne jej włoski rozsypały się po poduszce, mieszając się ze złocistokasztanowymi kędziorkami Emilki. Obie ubrane były w obszywane koronkami koszulki nocne – i miały długie



rzęsy sięgające policzków. Emilka do tego stopnia wyglądała na prawdziwe dziecko, że kapitan Crewe czuł się bardzo uradowany jej obecnością. Westchnął i pokręcił wąsa.

– Ej, mała córeczko! – szepnęła. – Ty pewno nie wiesz, jak smutno będzie tatusiowi bez ciebie!

Rankiem zawiózł ją do pensjonatu panny Minchin i już ją tam pozostawił, bo nazajutrz miał odjechać. Oznajmił miss Minchin, że wszelkie rachunki regulować będą jego plenipotenci¹, panowie Barrow i Skipworth, do których też należy się zwracać po wszelkie potrzebne informacje. Zalecił, by spełniano każdą prośbę Sary, i obiecał pisywać do niej dwa razy w tygodniu.

Następnie udał się z Sarą do małego pokoiku gościnnego i pożegnali się z sobą serdecznie. Sara usiadła mu na kolanach i ująwszy rączkami brzeg jego surduta², patrzyła w oczy ojca długo i przenikliwie.

– Czy chcesz zapamiętać sobie, jak wyglądam? – zapytał, gładząc jej włoski.

– Nie – odpowiedziała. – Ja przecież wszystko pamiętam. Mam ciebie całego w moim serduszk.

Objęli się ramionami i całowali tak gorąco, jak gdyby nie chcieli dopuścić do rozstania.

Gdy ojciec wsiadł do dorożki, Sara siadła na podłodze swego pokoiku i podparłszy główkę rękoma, patrzyła za odjeżdżającym, póki nie znikł za rogiem placu. Emilka siedziała obok niej i również wpatrywała się w dorożkę. Gdy nadeszła miss Amelia, siostra przełożonej, chcąc – z jej rozkazu – dowiedzieć się, co się dzieje z dziewczynką, znalazła drzwi na klucz zamknięte.

– Zamknęłam je umyślnie – odezwał się grzeczny, ale dziwny w brzmieniu głosik od wewnątrz. – Bardzo bym sobie życzyła zostać sama.

¹ *plenipotent* – pełnomocnik.

² *surdut* – rodzaj przedłużonej marynarki.

Miss Amelia była to osoba gruba i przysadzista, a wielce zahukana przez siostrę. Miała lepsze od niej serce, jednakże nigdy nie śmiała się sprzeciwić jej woli. Zeszła na dół, ogromnie zaniepokojona.

– Nigdy jeszcze nie widziałam tak śmiesznego, wprost nie po dziecięcemu usposobionego dziecka, siostruniu. Zamknęła się w pokoju i siedzi w nim cicho jak trusia.

– Wolę to, niż żeby tupiała nogami i krzyczała, jak to niektóre z nich umięją! – odpowiedziała miss Minchin. – Myślałam, że dziecko tak rozpieszczone jak ona podniesie wrzask na cały pensjonat. Bo też nie widziałam, by komu tak dogadzano jak jej.

– Pomagałam jej w otwieraniu i rozpakowywaniu kufrów – ozwała się miss Amelia. – Czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Sobole... gro-nostaje... walansjeńskie¹ koronki. Niektóre suknie już widziałas. I cóż ty sądzisz o tym wszystkim?

– Sądzę, że to wszystko jest mocno śmieszne – odpowiedziała miss Minchin. – W każdym razie będzie się w tym ładnie prezentowała na czele szeregu, gdy w niedzielę zaprowadzimy dziewczynki do kościoła. Zaopatrzone ją we wszystko, jak małą księżniczkę.

W zamkniętym pokoiku na górze Sara wraz z Emilką siedziały na podłodze i wpatrywały się w róg ulicy, za którym zniknęła dorożka. Kapitan Crewe jeszcze przez pewien czas oglądał się za siebie, machał ręką i przysyłał całusy, choć już nie widział swej córki.

¹ *walansjenka* – cienka koronka z kwiatowym deseniem.

Lekcja francuskiego

Gdy rankiem następnego dnia Sara weszła do sali szkolnej, wszystko, co żyło, jęło¹ się jej przyglądać otwartymi szeroko, pełnymi ciekawości oczyma. Wszystkie uczennice – począwszy od Lawinii Herbert, która miała lat trzynaście i uważała się za dorosłą, a skończywszy na Lottie Legh, która dopiero doszła do czterech latek i była beniaminkiem szkoły – nasłuchiwały się już wielu wieści o nowo przybyłej. Wiedziały – i to z całą pewnością – że jest to uczennica, którą miss Minchin pragnie się popisywać i po której spodziewa się wielkich korzyści dla swego zakładu. Kilka dziewczynek widziało nawet daną jej do posługi dziewczynę, Francuzkę Mariettę, która przybyła poprzedniego wieczoru. Lawinia przechodziła koło pokoju Sary i przez otwarte jego drzwi widziała, jak Marietta rozpakowywała paczkę nadesłaną późnym wieczorem ze sklepu.

– Było w niej pełno spódniczek, naszywanych suto² koronkami – szepotała w ucho swej koleżanki Jessie, schylonej nad podręcznikiem geografii. – Słyszałam, jak miss Minchin mówiła do miss Amelii, że to aż śmieszne – stroić tak małą dziewczynkę. Moja mamusia zawsze mówi, że dzieci powinny się ubierać skromnie. Jedną z tych spódniczek ma teraz na sobie; widziałam, gdy siadała.

¹ *jąć* (daw.) – zacząć.

² *suto* – obficie.

– Ona ma jedwabne pończochy – szepnęła Jessie. – A jakie małe nóżki! Nigdy nie widziałam tak małych nóżek.

– Phi! – odęła się Lawinia. – To tylko fason jej bucików. Moja mama zawsze mówi, że nawet duże nogi mogą się wydawać małe, jeżeli szewc jest zręczny. Mnie się ona nie wydaje ładna. Jej oczy mają tak dziwny kolor.

– Ona nie jest ładna, jak to nieraz bywają ładne dziewczynki – odpowiedziała Jessie, rzucając ukradkowe spojrzenie na salę. – Ale jest w niej coś takiego, co ludzi pociąga. Ma rzęsy straszliwie długie, a oczy prawie zielone.

Tymczasem Sara siedziała spokojnie, czekając, aż jej oznajmią, co ma robić. Dano jej miejsce w pobliżu stolika miss Minchin. Utkwione w nią liczne spojrzenia bynajmniej nie zbiły jej z tropu. Była wszystkim zadowolona, więc z całym spokojem patrzyła także na dziewczynki, które jej się przyglądały; zastanawiała się, o czym też one myślą – czy lubią miss Minchin, czy interesują się lekcjami i czy która z nich ma takiego tatusia jak ona. O tym tatusiu miała dziś rankiem dłuższą rozmowę z Emilką.

– On teraz płynie po morzu, Emilko – mówiła do niej. – Teraz my dwie powinnyśmy serdecznie się przyjaźnić i opowiadać sobie różne rzeczy. Patrz na mnie, Emilko. Oczki masz prześliczne... o, gdybyś jeszcze umiała mówić!

Jednym z fantastycznych urojeń, do których Sara taką żywiła skłonność, było owo ukojenie, jakiego doznawała, łudząc się, że Emilka żyje, a tym samym słyszy i rozumie wszystkie jej słowa. Toteż gdy Marietta ubrała ją w granatowy mundur szkolny i przewiązała jej włosy granatową wstążką, dziewczynka natychmiast podeszła do Emilki usadowionej na krzeselku i podała jej książkę.

– Możesz to czytać, póki nie wrócę ze szkoły.

Widząc zaś, że Marietta spogląda na nią z zaciekawieniem, wyjaśniła poważnie:

– Ja wierzę, że lalki potrafią wykonać wiele rzeczy, tylko nie dają tego poznać po sobie. Jest rzeczą bardzo możliwą, że Emilka umie czytać, mówić i chodzić... ale robi to tylko wtedy, gdy ludzie wyjdą z pokoju. Jest to jej tajemnica. Gdyby ludzie wiedzieli, że lalki potrafią wykonywać różne czynności, zaraz by zaprzęgli je do roboty; dlatego to one zapewne zobowiązały się nawzajem do sekretu. Póki będziesz w pokoju, Emilka będzie siedzieć spokojnie i patrzeć się przed siebie; ale gdy wyjdiesz, ona na pewno zacznie czytać albo podejdzie do okna i będzie patrzyła na ulicę; skoro jednak posłyszysz czyjeś kroki, pobiegnie czym prędzej z powrotem na dawne miejsce i będzie udawała, że siedziała tam przez czas cały.

– *Comme elle est drôle!*¹ – rzekła do siebie Marietta i zszedłszy na dół, opowiedziała o wszystkim klucznicy; jednakże od tej chwili poczuła wielką sympatię dla tego dziwnego dziewczątka, które miało twarzyczkę tak rozumną i było tak uprzejme. Marietta dotychczas miewała do czynienia z dziećmi, które bynajmniej nie odnosiły się do niej grzecznie; przeto teraz z zachwytem zwierzała się klucznicy, jak to Sara przemawia do niej: „bądź łaskawa, Marietko”, „dziękuję ci, Marietko” – traktując ją zupełnie niby jaką dystygowaną damę.

– *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!*² – zakończyła, wielce zadowolona z nowej pani i nowego miejsca.

Gdy Sara przesiedziała już parę minut w swej ławce, oglądana z zaciekawieniem przez koleżanki, nagle nad katedrą ukazała się miss Minchin.

– Moje dziewczynki! – przemówiła z dziwnie dostojnym wyrazem oblicza. – Pragnę wam przedstawić nową koleżankę. – (Wszystkie uczennice powstały, a Sara poszła za ich przykładem). – Spodziewam się, że będziecie dobre i uprzejme dla panny Crewe, która przybyła do was

¹ *Comme elle est drôle!* (fr.) – Jaka ona śmieszna!

² *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!* (fr.) – Ona zachowuje się jak księżniczka, ta mała!

z bardzo daleka, bo aż z Indii. Zaraz po ukończeniu lekcji powinniście się z nią zaznajomić.

Uczennice ukloniły się ceremonialnie, a Sara odwzajemniła się im ukłonem, po czym usiadły i znów zaczęły się sobie przyglądać.

– Saro – odezwała się miss Minchin tonem, jakiego używała w szkole.

– Chodź tu do mnie.

Wyjęła z pulpitu jakąś książkę i zaczęła przewracać stronicę. Sara podeszła grzecznie ku katedrze.

– Ponieważ twój tatuś zgodził¹ Francuzkę na pokojówkę dla ciebie – odezwała się miss Minchin – przypuszczam, że życzył sobie, byś szczególnie przyłożyła się do nauki języka francuskiego.

Sara poczuła się trochę nieswojo.

– Ja myślałam – odpowiedziała – że tatuś dlatego ją zgodził, że... że myślał, iż ja ją polubię, proszę pani.

– Mam pewne obawy – odezwała się miss Minchin, uśmiechając się cierpkawo – że jesteś dziewczynką bardzo rozpieszczoną, która sobie wyobraża, iż wszystko czyni się tylko dla dogodzenia jej upodobaniom. Ja jestem zdania, że twój tatuś sobie życzył, żebyś wzięła się do nauki francuskiego.

Gdyby Sara była nieco starsza lub mniej skrupulatna na punkcie grzeczności wobec innych, potrafiłaby wyjaśnić w kilku słowach całą sprawę; tymczasem jednak nie zdobyła się ani na jedno słówko – i tylko gorący rumieniec oblał jej policzki. Miss Minchin była osobą bardzo stanowczą i bezwzględną, a przy tym tak głęboko przekonaną o tym, jakoby Sara nie miała pojęcia o francuszczyźnie, iż wszelkie wyprowadzanie jej z błędu mogło się wydawać niemal niegrzecznością.

W istocie jednak język francuski był Sarze znany niemal od kolebki. Jej matka była Francuzką, a kapitan Crewe przez pamięć ukochanej żony,

¹ zgodzić (daw.) – przyjąć do pracy.

którą stracił tak wcześnie, rozmawiał często w tym języku w obecności córki, a nawet z nią samą – jeszcze gdy była małym pędrakiem...

– Ja nigdy nie uczyłam się naprawdę francuskiego, ale... ale... – zaczęła, chcąc się wytłumaczyć.

Jednym z najpoważniejszych strapień miss Minchin była nieumiejętność mówienia po francusku. Fakt ten, który ją bolał dotkliwie, usiłowała zataić przed ludźmi, nie miała więc ochoty wdawać się w dyskusję z nowicjuską i narażać się na jej niedyskretne zapytania.

– To wystarczy – odpowiedziała z kwaśną uprzejmością. – Skoro się nie uczyłaś, musisz niezwłocznie przystąpić do nauki. Za parę minut przyjdzie nauczyciel francuskiego, monsieur¹ Dufarge. Weź tę książkę i rozejrzyj się w niej, zanim pan profesor nadejdzie.

Sara, cała w pąsach, wróciła do swej ławki i otworzyła książkę. Spojrzawszy na pierwszą stronicę, starała się zachować poważny wyraz twarzy. Wiedziała, że niegrzecznością byłoby uśmiechać się – a postanowiła sobie święcie, że nie okaże się niegrzeczną; w każdym razie bawiło ją to w duchu, że kazano jej uczyć się, że *le père* oznacza ojca, a *la mère* – matkę.

Miss Minchin spojrzała na nią badawczo.

– Widzę, Saro, że wodzisz oczyma po klasie, zamiast patrzeć w książkę. Szkoda, że nie okazujesz zapалу do języka francuskiego.

– Język ten bardzo mi się podoba – odpowiedziała Sara, próbując znów zabrać głos – ale...

– Nie powinnaś mówić „ale”, gdy ci coś rozkazują przełożeni. Patrz w książkę.

Sara wlepiała wzrok w książkę – ale już ani się nie uśmiechnęła, nawet wtedy, gdy wyczytała, że *le fils* oznacza syna, a *le frère* – brata.

– Gdy przyjdzie monsieur Dufarge – myślała – już ja mu wszystko wytłumaczę.

¹ *monsieur* (fr.) – pan; zwrot grzecznościowy.

Niebawem nadszedł monsieur Dufarge, miły, inteligentny Francuz w średnim wieku. Ujrawszy Sarę, niby to po-
grążoną w lekturze rozmówek francuskich, zainteresował się tym jej skupieniem i grzecznością.

– Czy to nowa uczennica dla mnie, madame¹? –
zapytał przełożonej. – Sądzę, że będę miał z niej
pociechę.

– Jej ojciec, kapitan Crewe, bardzo pragnie,
by rozpoczęła naukę języka francuskiego. Boję
się jednak, że ona ma do francuzczyzny jakieś
dziecinne uprzedzenia... bo nie bardzo się gar-
nie do nauki – odpowiedziała miss Minchin.

– Wielka szkoda, mademoiselle² – ode-
zwał się monsieur Dufarge uprzejmie do
Sary. – Może, gdy zaczniemy razem się
uczyć, potrafię panią przekonać, że jest
to język bardzo piękny.

Sara powstała. Czowała się tak
zrozpaczona, jak gdyby popa-
dła w nielaskę. Rozwarłszy
szeroko swe zielone oczka,
spojrzała nimi szczerze
i prostodusznie w twarz
monsieur Dufarge'a;
wyczytała w niej, że
on pojmie, o co cho-

¹ *madame* (fr.) –
pani; zwrot grzecz-
nościowy.

² *mademoiselle* – pan-
na; zwrot grzeczno-
ściowy.



dzi, i po prostu zaczęła w dźwięcznej płynnej francuszczyźnie tłumaczyć mu rzecz całą. Zwierzyła się więc, że madame nie zrozumiała jej intencji; prawdą jest, że nie uczyła się francuskiego na lekcjach i z książek, ale tatuś i inni ludzie często mówili do niej tym językiem, tak iż umiała nim mówić i pisać – jak rodowitą swą mową. Był to przecież rodzinny język jej matki, która umarła po jej urodzeniu; dlatego to i tatuś – i ona za jego przykładem – lubili się nim posługiwać.

W końcu Sara zapewniła monsieur Dufarge'a, że bardzo chętnie będzie się uczyła wszystkiego, czego on zechce ją uczyć, a jeżeli zabierała głos wobec przełożonej, to jedynie w tym celu, by jej wyjaśnić, iż wszystkie słówka w podręczniku zna już od dawna.

W chwili, gdy Sara zaczęła mówić, miss Minchin drgnęła i jęła niemal z oburzeniem wpatrywać się spod okularów w uczennicę. Monsieur Dufarge uśmiechał się z wielkim zadowoleniem, słysząc w ustach tego dziecka czysty i uroczy dźwięk ojczystej swej mowy, który myśl jego przeniósł hen do kraju lat młodzieńczych – z dala od ciemnego, mglistego Londynu. Gdy Sara skończyła mówić, spojrzał na nią z rozczuleniem i odebrawszy od niej podręcznik, odezwał się do miss Minchin:

– Ach, madame, toż ja niewiele już ją mogę nauczyć! Ona się nie uczyła francuskiego, ale mówi jak rodowita Francuzka. Akcent ma wyborny.

– Powinnaś była mi to powiedzieć – zawołała miss Minchin, mocno urażona.

– Ja... ja chciałam... – odpowiedziała Sara – ale zdaje mi się, że zaczęłam niewłaściwie.

Miss Minchin zdawała sobie dobrze sprawę, że zawiniła, nie dając dojść do słowa dziewczynce. Gdy więc spostrzegła, że inne dziewczęta przysłuchiwały się całej scenie, a Lawinia i Jessie chichocą za książką, wpadła w wielki gniew.

– Cicho, panienki! – odezwała się surowym głosem, stukając w pulpit. – Cicho mi zaraz!

Od tej chwili poczuła wielką niechęć do swej wzorowej uczennicy.

Ermengarda

Gdy pierwszego dnia lekcji Sara siedziała koło miss Minchin, obserwowana pilnie przez wszystkie koleżanki, zauważyła pomiędzy nimi małą dziewczynkę, mniej więcej w tym samym wieku, która wpatrywała się w nią uporczywie dwojgiem jasnobłękitnych, nieco tępawych oczu. Była to tłusta dziecina, bynajmniej niewyglądająca na zbyt mądrą, o buzi nadąsanej, ale pocziwej. Jej lniane włosy splecione były w gęsty warkocz; koniec jego przerzuciła sobie przez ramię i gryzła wstążkę, a podparwszy się łokciami o pulpit, przyglądała się z podziwem nowicjusze.

Gdy monsieur Dufarge zaczął przemawiać do Sary, na twarzyczce tłuscioszki odmalowało się lekkie przerażenie; gdy zaś Sara, wpatrzywszy się w nauczyciela dziecięcymi, szczerymi oczkami, odpowiedziała mu po francusku, aż podskoczyła na ławce i poczerwieniała od lęklivego zdumienia. Ponieważ sama wiele łez wylała, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zapamiętać, że *la mère* oznacza matkę, a *le père* – ojca, przeto nie chciało się jej w główce pomieścić, że jakieś dziecko, równe jej wiekiem, zna nie tylko te dwa wyrazy, ale i mnóstwo innych, które potrafi wiązać z sobą w całe zdania bez najmniejszego wysiłku.

Tak wytrzeszczała oczy i tak mocno przygryzała wstążkę warkocza, że ściągnęła na siebie uwagę – a co za tym idzie – i gniew miss Minchin.

– Panno St. John! – upomniała ją surowo przełożona. – Cóż to za zachowanie? Zdejm łokieć z pulpitu! Wyjmij z ust wstążkę! Siadaj mi zaraz porządnie!